rękę na pulsie współczesnej refleksji nad poznaniem, nauką, filozofią. Dawało nam to, wpisanym w filozofię "wieczystą", poczucie współkroczenia z dziejącą się prawdą. Uczył nas osobowego stosunku do prawdy, odpowiedzialnego do niej dążenia – permanentnego stawiania pytań i poddawania ciągłemu sprawdzaniu osiągniętych wyników – i przypominał o powinności strzeżenia ludzkiej wiedzy, jej obrony zarówno przed krótkowzrocznym aktualizmem, wciągającym myśl ludzką w wir zmieniających się co dekadę poglądów i mód myślowych, jak i przed zakusami różnych monizmów kulturowych, dokonujących brutalnej selekcji w skarbnicy prawd już poznanych.

Wprowadził nas w "wolną przestrzeń" (Pieper) bezinteresownego dociekania prawdy, która daje szansę ocalenia godności pośród współczesnej pseudokultury konsumpcyjnej i systemów monistycznej ideologizacji wszystkich aspektów życia jednostek i narodów. Był bliski...

JERZY W. GAŁKOWSKI

PO PROSTU STRYJ

Zapewne inni będą pisali o działalności naukowej i zasługach dla Uniwersytetu Księdza Profesora Stanisława Kamińskiego. Chciałbym ukazać Jego postać od innej nieco strony.

Każdy, kto studiował filozofię na KUL-u, już na początku studiów musiał się z Nim zetknąć. Zarazem też spotykał się z legendą, która go poprzedzała. Miała ona groźną twarz – u Kamińskiego nie można zdać egzaminu za pierwszym razem; byli tacy, co próbowali ponad dwadzieścia razy; kto u Niego zda, ten ma studia w kieszeni. Ksiądz Profesor podtrzymywał tę legendę, studenci również, choć sprawdzała się ona coraz rzadziej, ale wówczas rzekomo były to wyjątki. Nic też dziwnego, że podczas eutrapelii, czyli kabaretu filozofów (niestety, dawno już przeminął...), Ksiądz Profesor był główną postacią, głównym przedmiotem "zainteresowania", czyli przycinków i ukłuć. I On najgłośniej z nich się śmiał, nigdy się nie obrażał, choć niektóre z nich, jak to często u studentów bywa, nie miały umiaru. Legendy też krążyły o żartach, które sam organizował wespół z przyjaciółmi, począwszy od jakichś taczek o północy spuszczonych w seminarium ze schodów. To wszystko zmieniało i łagodziło groźbę egzaminacyjną. A jeśli zobaczyło się Go na studenckim wieczorku, akompaniującego na zaimprowizowanej z krzesła i dwóch patyków perkusji, to można było dojść do przekonania, że Jego misiowata postać o charakterystycznych ruchach i nieco rubaszne zachowanie kryje wrażliwe serce. Świadomie chyba przybierał groźne maski mające chronić wielką uczuciowość i dobroć.

Inaczej więc przedstawiał się tym, z którymi był w bliższych kontaktach – na imieninach, weselu czy innych spotkaniach rodzinno-towarzyskich lub też podczas wakacyjnych włóczęg. Wtedy to nie był już Ksiądz Profesor czy też Kamień, ale po prostu Stryj. No bo jak inaczej można było mówić w kajaku, podczas gry w siatkówkę, którą lubił, choć często przy tej okazji wyskakiwała ręka ze stawu, lub przy ognisku. Tym bardziej że obok był inny członek "rodziny", Wuj – Ksiądz Profesor Karol Wojtyła. I choć te prywatne, imieninowe

i wakacyjne spotkania były krótkimi epizodami, to przecież one właśnie zostały na trwałe we wspomnieniach.

Jego pasją, obok nauki, była dydaktyka. Nie odmawiał swojej pomocy tym, którzy się do Niego zwracali o rady w sprawie swoich studiów, pisanych prac, choćby i na innych seminariach. A rady były trafne i cenne, dzięki jasnej myśli logika i metodologa. Ileż ładu potrafił wprowadzić w burzliwe dyskusje studenckie i na seminarium, i przy ognisku... Nie dawał odczuć swojej profesorskiej wyższości, ale z wielką cierpliwością i rubaszną dobrotliwością tłumaczył i wyjaśniał zawiłe problemy, które stawały się wtedy o wiele prostsze. Mawiał czasem o sobie, że jest psychologiem-praktykiem, a Jego słowa miały nie tylko wartość teoretyczną i naukową, ale i życiową.

Zdawało się, że jest niezmienną i trwałą postacią kulowskiego pejzażu – 40 lat Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej i tyleż pracy na nim Księdza Profesora, kochanego Stryja. A teraz Go już nie ma. Z całym jednak przekonaniem można powiedzieć, jak o mało kim, że nie całkiem umarł.

URSZULA ŻEGLEŃ

MISTRZ I NAUCZYCIEL

Czy można już pisać wspomnienia o człowieku, który odszedł od nas tak niedawno, którego osobowość była tak silnie odczuwana, którego obecność jest ciągle żywa? Bardzo trudno zaakceptować tę nową rzeczywistość, w której nieoczekiwanie znaleźliśmy się jako Jego uczniowie i przyjaciele; rzeczywistość, w której zabrakło już Jego – naszego najlepszego Nauczyciela i Mistrza. Jak więc pisać wspomnienia, gdy czas nie wycisnął swych znamiom, gdy brak dystansu do rzeczywistości, w której tak niedawno był On razem z nami. Jego zaś obecność przejawiała się zawsze w olbrzymiej, wszechstronnej aktywności. I dziś ciężko uwierzyć, że nie ma Profesora w Katedrze, w Zakładzie, w dziekanacie, w redakcji *Encyklopedii,* na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego czy Filozoficznego, a pod znanym numerem telefonu nie usłyszy się Jego życzliwego głosu. W każdej sytuacji wystarczyło po prostu zadzwonić czy przyjść, był gotów służyć radą, pomocą, był zawsze obecny, i to nie tylko dla nas, którzy pracowaliśmy pod Jego bezpośrednim kierunkiem w Katedrze. Wiedząc, że już nie ujrzymy Jego charakterystycznej sylwetki ani nie zostaniemy obdarzeni Jego pogodnym, szczerym uśmiechem, mamy świadomość wielkiego długu wdzięczności, który wobec Niego zaciągnęliśmy, a którego nie zdołamy spłacić. To On, będąc naszym Profesorem i Przełożonym, poświęcał nam swój cenny czas, czytając najpierw nasze prace seminaryjne i magisterskie, potem kolejne już prace dyplomowe i te rozmaite, przygotowywane do druku; miał zawsze czas, by je dokładnie przeczytać, poczynić potrzebne uwagi, wzbogacić dodatkową bibliografią.

Był Nauczycielem i Mistrzem, tolerował i szanował nowe, odmienne poglądy, lecz w pracy naukowej uczył zawsze rzetelności, przejawiającej się w spojrzeniu obiektywnym i krytycznym, nie ulegającym zmieniającym się modom i złudnym – często kuszącym swą lekkością – stylom myślenia. Zadziwiał wprost olbrzymią wiedzą i erudycją, które płynęły